№ 15 WARSZAWA, DNIA 12 KWIETNIA 1913 ROKU ROK III

NASZ ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

JAN POWALSKI.

W GRODZIE ŻAKÓW.

Ciąg dalszy.

Odetchnął głęboko i było mu, jakby miał teraz jakieś światło ukryte w sobie, i jakby mu przybyło siły, To mu się trafiało nieraz. Myślał wtedy, że rósł nie wiedząc o tem, a w owej chwili nagle uczuwał, że mocy mu przyrosło. Mniemał, że tak będzie zawsze i nieraz bawił się myśląc: do czego też to dojdzie? Będzieli taki jak Waligóra, jak Wyrwidąb w starych bajkach? Starał się poznać, jaki będzie później, patrząc na dorosłych ludzi: ale wszyscy wydawali mu się za słabi.

Samuel pierwszy ocknął się z chwilowego milczenia, błysnęły mu żywiej oczy i powiedział:

— Kędyż się spieszysz? Gdzie ci do tyla pilno, byś ani chwili tu zostawać nie miał?

Hieronim pomyślał, że jednak lepiejby nic nie mówić. Ale gdy spojrzał na jasną, dziwnie kształtną twarz Samuela, na oczy bystre, świeże, uważne, błękitne i gorące jak czyste niebo w samo południe, spuścił głowę i zastanowił się: temu nie powiedzieć? Podobał mu się Samuel, ciągnęła go nadzieja przyjaźni z nim, którego wszyscy żacy słuchali, choć on tego od nich nie żądał. Przytem był starszy, mógł mieć lat ze szesnaście, to także ważyło.

— Brata mam starszego, Andrzeja, — rzekł wreszcie. — Ten wojuje, gdzie? nie



Żacy, Stach i Pietrek, wędrują do Krakowa.

wiem nic, na wołoskiej granicy, alboli na Ukrainie... Dowiem się na zamku, tam będą wiedzieli. Do niego chcę iść.

Nie pożałował, że powiedział, widząc jak zajęły te zamiary Samuela.

— Co tam będziesz czynił? Jakże tam dobijesz się, tyli świat, bez konia, bez towarzysza?

— Przecież dobiję się! — odrzekł Hieronim. – Co będzie, to będzie.

— Ciężko będzie, — rzekł Samuel. — Znam ci to już. A ojcowie z domu tak cię puścili?



Hieronim ucieka do lasu.

— Gdzieby! — żachnął się Hieronim, nieco stropiony tem, że Samuel bierze i jego, i jego brata, i jego ojców za takich chudopachołków, którzy tak mizernie syna w drogę wyprawiają. — Ojców nie masz, pomarli. Braci jeno mam dwu.

— I ja mam brata starszego, Macieja, — rzekł Samuel. - Tenci we Włoszech jest, w Padwie. I ja pojadę; poślą mnie ojcowie, gdy tu dobędę jeszcze lat ze dwa.

— Znasz, powiadasz, jako to jest, tak bez konia kędyś się dostawać? — spytał Hieronim.

— Bez konia, nie, alem raz, małym jeszcze, sam do dom jechał mil ze dwadzieścia. Powieźli mnie do wuja, w Wielkiej Polsce. Przyszło jak raz na ten czas powietrze. Wuj mnie na podwodę tę samą wsadził, ludzi dał, wysłał do domu. Przyjechalim do miasteczka Koła. Tam ludzie marli jak muchy. Pomarli i moi. Zostałem sam. Ani drogi wiem, ani kędy się obrócić, co począć. Ale nic. Groszy trochę było. Kupiłem owsa, siana, nałożyłem na wóz, i dalej jadę. Konie tom karmił, ale sam tom ledwo z głodu nie zamarł. Jako mnie te konie dziwnie dowiozły, to już nie wiem, ani nikt inny, chyba Pan Bóg. Ludzie pokazywali drogę, ale mi się zda, że te konie więcej rozumiały ich, słuchając, niźli ja.

— Że ci nikt koni ani woza nie odjął?

— Powietrze było. Ani nikt się do mnie przysiąść nie pytał, widząc, jak się wleczem, by trupia podwoda. A może i boska opieka nas chroniła.

— Długoś tak jechał?

— Wiem to? Niedziel ze trzy, może dwie. Potem jużem myślał, że zamrę. Niech też te konie idą, gdzie im się widzi, niech też idą, gdzie im się spodoba. Leżałem na wozie w barłogu, co napół przegnił, ze słomy, co w nią wszystkie deszcze lały. Aż tu konie stają. Ja i oczu nie otwieram, nie warto. Słyszę, że wiatr szumi jakosi dziwnie. Patrzę: drzewa, ale rzadkie, nie jak w lesie. Znów leżę, jak niemocny. A wóz wciąż stoi. Wtem, jak ci coś nie zaskomli! Na wóz się dobiera, skacze. Włazi i na mnie! I liże, i skomle, i przypada: patrzę, aż tu nasz pies, Obal! Myślę: tom ja w domu! Tu już i drzewam rozpoznał, co przy drodze, nim wjechać we wrota. Wrota były zamknięte. Zewlokłem się z wozu, otwarłem. Konie ruszyły: szkapy też się to zrobiły, chudziny! Wtedym się dopiero obaczył, kiedym je tak ujrzał ruszające z wozem, jak ledwo nogami włóczyły. Chciałem zawrzeć bramę, alem tak i siadł, nic już siły we mnie nie było. Jakbym zasnął. Potem się zbudziłem, to jużem był na

pościeli i matka przy mnie, i wszyscy. Płakali, a jam się bardzo dziwił. Ale oni myśleli, żem już tam gdzieś zamarł, daleko.

Samuel umilkł, uśmiechając się niewyraźnie do dawnych tych czasów.

Hieronim powiedział:

— Jak przyjmie, to przyjmie—rzekł.— Ale do Marcina, zdrajcy, nie wrócę.

— Co?—zdziwił się Samuel.

— Mam drugiego brata — odpowiedział Hieronim niechętnie,—który doma gospodarzy. Od tegom poszedł i nie wrócę.

Samuel dorozumiewał się teraz, o co



Dąb, w którym się ukrył Hieronim.

— Szkoda, że mnie się tak nie zdarzyło.

Potem powrócił myślami do swoich spraw, i rzekł:

— Teraz przyszedłem tu do Krakowa na piechotę, i bardzo dobrze. Podwożą po drodze. A jeszcześmy nie szli wielkim gościńcem, co na Miechów, Chęciny, Kielce, jeno przez Pińczów. Teraz zaś pójdę wielkim gościńcem, nic się nie zbijając z drogi, prosto do Wołoch, albo na Ukrainę. Bylem się dopytał, gdzie jest Andrzej.

— A on cię przyjmie dobrze?

Hieronim zamilkł, uderzony tem pytaniem, którego wcale sobie dotąd nie zadawał.

idzie. Patrzył na Hieronima z tem większem zajęciem.

— A nie będzie cię ten Marcin szukał?—spytał ciszej.

— Posłał—rzekł Hieronim.– Mają mnie ścigać by i do Krakowa.

— O!—wykrzyknął Samuel mimowoli.— To na ostre!

Hieronim się uśmiechnął, rad.

— Temu to i śpieszyć się muszę. Zaraz jutro pójdę na zamek.

— Nie radzę ci — odezwał się głos z boku.

Hieronim się rzucił, spojrzał. Siedział w mroku jakiś człowiek spokojny, mając sporą lampkę wina przed sobą, podparty łokciem na stole.

— Dlaczego? — porywczo spytał Samuel.

— Ba!—rzekł tamten—jeśli ów, co szuka, niegłupi, to na zamek najpierw da znać do podstarościego, i w mieście na ratusz, by pachołkowie miejscy zważali.

tu, w Krakowie, gdzie musiał być dobrze znany.

— Nie? — rzekł ów. — Tedy przez innych, którzy mają znajomych w zamku i w królewskiej chorągwi, trzeba się dowiadywać.



Drużyna Marcinowa, poszukująca Hieronima.

— W takiem mrowiu żaków i scholarzy, kto go znajdzie? — powiedział Samuel.

— Iście, nikt. Ale dlatego też na zamek, w samą lwią paszczękę leźć nie powinien.

— O! — rzekł Hieronim napół do siebie—jakżeż tedy się dowiem?

Nieznajomy uśmiechnął się i bynajmniej nie ruszając się, tak jak był z podpartą brodą, powiedział:

— Przyjaciół, krewnych nie masz?

Hieronim spuścił głowę i nic nie odrzekł. Trudno, o wuju Zieleńskim kanoniku zbyt niebezpiecznieby było mówić

Mówił jasno, spokojnie. Hieronim uchylił się, by go widzieć w świetle. Zobaczył, że ma bladawą twarz, bez zarostu, cienkie, wyraźne brwi czarne i jasne oczy siwe, mądre, pogodne, któremi patrzył prosto w niego. Na głowie miał aksamitną czapkę, która zasłaniała czoło. Nie wydawał się zdrajcą, prędzej sprzymierzeńcem. A może nawet był to ktoś znaczny? To także mignęło w myśli Hieronima, gdyż tamten miał w sobie jakąś dostojność i swobodę, a także nacisk w głosie lekki, ale częsty i spokojny.

Hieronim rzekł:

— Nikogo nie znam.

(D. c. n.).

POGOŃ NAOKOŁO ZIEMI

OPOWIADANIE WSPÓŁCZESNE

opracował J. Szczawiński.

Ciąg dalszy.

— Co się tyczy pieniędzy, to nie mamy obawy, gdyż na szczęście mamy dość przy sobie – odparł Monsard. Następnie dopytywał się kapitana o Gonzalesa.

— Gonzales? — powtórzył kapitan, przerzucając listę pasażerów.—Tego nazwiska nie mam zanotowanego. Przykro mi bardzo, lecz dłużej z panami nie mogę rozmawiać. Namyślcie się, proszę, czy wracacie, czy też zrobicie z nami małą wycieczkę do Honolulu, trwającą sześć dni.

Mówiąc to uchylił czapki i odwrócił się do nich plecami.

Przyjaciele stali bezradni na pokładzie, a okręt zbliżał się już do otwartego oceanu.

— Mógłbym przysiądz – rzekł Monsard,— że przed chwilą widziałem Alfonsa na pokładzie. Może jedzie pod obcem nazwiskiem i ujrzawszy nas, gdzieś się skrył. Prawdę powiedziawszy, zostałbym na tym okręcie, ponieważ jakieś przeczucie mi mówi, że meksykańczyk jest na pokładzie.

— Podzielam twoje życzenie — odparł Jan Chmurzyński,—lecz nie mamy żadnych rzeczy; wszystko zostało w San-Francisko.

— Ee,.. to najmniejsze zmartwienie, — rzekł towarzysz.—Mniejsza o trochę rzeczy. Za pieniądze możemy tu dostać i ubranie i bieliznę, a w Honolulu znajdziemy wszystko, co nam będzie potrzeba.

— A więc zostajemy—rzekł Jan, w którym obudziła się znów chęć do przygód.— Może los wskazał nam znak, za którym powinniśmy iść.

Decyzja zapadła szybko. Przyjaciele wykupili dwa bilety pierwszej klasy, zmienili ubrania, tak że swym wyglądem nie wzbudzali już podejrzenia, jak to miało miejsce na pokładzie barki. Dalsze poszukiwania Gonzalesa na pokładzie również nie dały zadawalającego wyniku. Podobno na kilka godzin przed odejściem parowca zjawił się jakiś mężczyzna, którego powierzchowność zgadzała się z opisem meksykańczyka, lecz opuścił okręt przed odejściem.

— Nie chce mi się w to wszystko wierzyć — rzekł Mosard do Jana, gdy obaj wieczorem siedzieli w wygodnych fotelach na pokładzie, patrząc na wschód, gdzie delikatna już tylko mgiełka wskazywała oddawna znikły kalifornijski brzeg.

— Nie dam sobie zaprzeczyć, że Gonzales znajduje się na pokładzie. Na wielkim okręcie jest mnóstwo kryjówek, a chińscy

marynarze gotowi uczynić wszystko za pieniądze. Musimy dobrze uważać. Ostatecznie przy wysiadaniu w Honolulu nie uda mu się ujść z naszych oczów.

ROZDZIAŁ IX.

Podróż na wyspy Hawai.

Prześliczna pogoda towarzyszyła „Chinie" podczas całej podróży. Minęło już pięć słonecznych pogodnych dni, a ocean Spokojny, który w pewnych okolicach i w pewnych okresach czasu bywa tak burzliwy, jak żadne inne morze, tym razem wyjątkowo nie kłamał swej nazwie. Gdyby nie myśl, że podróż ta może być znów napróżno, nasi znajomi czuliby się bardzo szczęśliwi. Wciąż coś nowego nasuwało się do podziwiania, to na okręcie, to w olbrzymiej pustyni morskiej. Co chwila ukazywały się delfiny, pozornie niezgrabne, które jednak z zadziwiającą szybkością przedostawały się z fali na falę, urządzając formalny wyścig z okrętem; to znów srebrzyste masy latających ryb, które na kilka metrów podnosiły się w powietrze i przelatywały więcej, niż sto metrów. Wciąż zmieniające się oświetlenie nieba, fantastyczne chmury, przedziwne rodzaje fal, wszystko to i wiele jeszcze innych zjawisk nastręczało niewyczerpany materjał do obserwacji.

Nie mniej ciekawe było życie na okręcie. Wielki okręt, to mały światek ze wszystkiemi zjawiskami życia, namiętnościami i przeciwnościami wielkiego świata. Od bogatych kupców, którzy otoczeni wszelkiemi wygodami i zbytkiem, jeżdżą kajutami pierwszej klasy, aż do biednych chińskich wyrobników, nie mających żadnych wymagań, którzy żywią się tylko ryżem i herbatą i śpią pod gołem niebem—jakaż różnica, jakaż wielka przepaść!

Przyjaciele poznajomili się wrótce bliżej z pewnym niemcem, amerykaninem, który posiadał na wyspach Hawai plantacje cukru, a pan Ahrens, takie miał nazwisko, opowiadał im cudowne rzeczy o wulkanach tych wysp, największych na ziemi.

— Jeżeli panowie chcą zobaczyć coś wspaniałego, to proponuję panom wycieczkę z Honolulu na wyspy Hawai. Od mych plantacji do wulkanu Kilanea jest tylko kilka godzin jazdy końmi.

Monsard i Jan przyjęli chętnie zaproszenie miłego człowieka.

Szóstego dnia zaczęły zarysowywać się lekko na horyzoncie kontury gór archipelagu Hawai. Te małe, lecz dla żeglugi i handlu niezwykle ważne wyspy, składają się z ośmiu dużych zamieszkałych i trzech niezamieszkałych. Honolulu, główne miasto archipelagu i główny punkt handlowy, leży na wyspie Oahn, tymczasem wyspa Hawai, od której pochodzi nazwa całej grupy, jest wprawdzie o wiele większa, lecz wskutek wulkanicznych właściwości mniej ważną. Po kształcie gór poznać można odrazu, że wyspy Hawai powstanie swe zawdzięczają sile podziemnej. Z 40 wulkanów, 38 jest nieczynnych, a na Hawai pracuje bezustannie jeszcze dwa tylko największe w świecie, Mauna Loa i Kilanea.

W miarę zbliżania się do lądu, wzrastał niepokój i zaciekawienie przyjaciół. Teraz okaże się, czy Gonzales jest na okręcie czy nie, ponieważ przyszła na pokład komisja sanitarna, aby zbadać stan zdrowia pasażerów „Chiny", a urzędnicy celni obchodzili wszystkie zakątki na okręcie. Parowiec zatrzymał się blizko brzegu pomiędzy innemi okrętami. Nagle, gdy Monsard i Jan szli właśnie na lekarską rewizję, ktoś zawołał:

— Człowiek wpadł do morza! — i marynarz rzucił płynącemu człowiekowi pas ratunkowy.

— Nie wpadł, lecz umyślnie wskoczył do wody, — rzekł jeden z pasażerów, który widocznie obserwował całe zdarzenie.

Przyjaciele pobiegli do barjery i widzieli, jak człowiek ten nawet nie zwrócił uwagi na rzucony pas, lecz coraz szybciej płynął, a wreszcie znikł za jednym z okrętów.

— Naprawdę to Gonzales—zawołał Monsard. — Więc ukrył się na okręcie i chce nam teraz znów uciec. Prędzej, za nim!

Łatwiej to było powiedzieć, niż wykonać, „Chiny" nie przywiązano jeszcze do przystani, i między lądem i okrętem nie było połączenia.

— Znów nam ucieknie! — zawołał Jan, tupnąwszy ze wściekłości nogą.—Czy mamy go gonić po całej kuli ziemskiej?

— Może wreszcie na tej małej wyspie uda nam się go złapać? Nie martw się, jestem przekonany, że ten przebiegły lis dostanie się w końcu w nasze ręce. Chodź już, lekarz nas oczekuje i pan Ahrens czeka na nas. Trzeba wszystko to zachować w tajemnicy, inaczej wyśmieliby nas.

* *

*

Właściciel plantacji, pan Ahrens zapoznał przyjaciół z wszystkiemi osobliwościami Honolulu. Zamieszkali w bardzo wygodnym hotelu, urządzonym całkiem na amerykański sposób i przepędzili wiele pięknych chwil pod palmami wybrzeża na przedmieściu miasta, ulubionem miejscu zamożnych kupców z Honolulu.

Czas mijał jak we śnie, lecz poszukiwania Gonzalesa były bezowocne. Chytremu meksykańczykowi udało się widocznie zupełnie niespostrzeżenie wydostać się na ląd i znaleźć gdzieś schronienie.

W kilka dni udali się z panem Ahrensem w podróż na Hawai. Droga ciągnęła się wśród wysp o bardzo ciekawych wybrzeżach. Następnego dnia przed oczami podróżnych ukazały się dziko poszarpane, wulkaniczne, strome brzegi Hawai z portem Hilo, zamieszkałym przeważnie przez cudzoziemców, jedynem handlowem miasteczkiem wyspy Hawai.

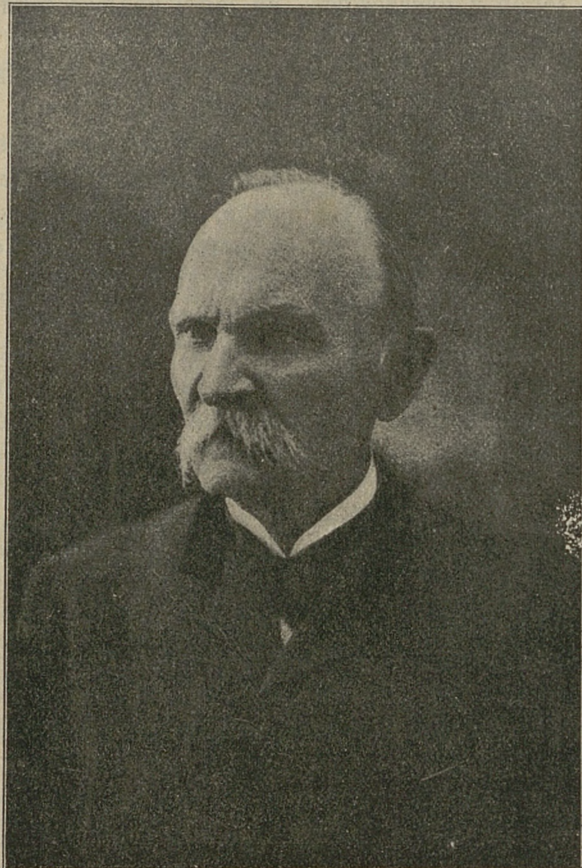
Rączy zaprząg oczekiwał przyjaciół w porcie i zawiózł ich do plantacji pana Ahrensa. Na wzgórzu, wśród rozległych cukrowych plantacji, wznosił się dom pana Ahrensa, ocieniony palmami kokosowemi i bambusowemi, i tutaj Monsard i Jan zostali serdecznie przyjęci przez rodzinę właściciela.

Następnego dnia już o wczesnej godzinie obudzono gości, ponieważ postanowiono dnia tego złożyć wizytę Kilanea. Konno udali się wraz ze służącym drogą, usianą zastygłemi kawałkami lawy na łagodnie podnoszącą się górę. Wkrótce znaleźli się w pierwotnym lesie olbrzymich drzew palmowych, których liście podobne są zupełnie do naszych zwykłych paproci z tą tylko różnicą, że mają one od 3 — 4 metrów długości.

Rośliny wijące oplatały się około drzew i tworzyły nieprzenikniony gąszcz, z którego szedł zapach zgnilizny z obwiędłych liści, zmieszany z silnym zapachem kwiecia niezwykłych roślin.

Jan dziwił się, że po pięciogodzinnej jeździe nie było jeszcze widać Kilanea. Jakże wielkie było ich zdziwienie, gdy nagle po pewnym zakręcie ujrzeli morze szarej pary i olbrzymich, kłębiących się chmur dymu.

(D. c. n.)



T. T. JEŻ.

W czasie świąt Wielkanocnych w r. b. nestor pisarzy polskich T. T. Jeż, obchodził dziewięćdziesięcioletnią rocznicę swych urodzin. Ze wszystkich stron Polski przesyłano mu życzenia i wyrazy hołdu i czci; należy też, ażebyście i wy choć w części zapoznali się z życiem tego niezwykłego męża, z którem część dziejów Polski jest związana.

T. T. Jeż, a właściwie Zygmunt Miłkowski, gdyż nazwisko pierwsze jest pseudonimem literackim, urodził się dn. 23 marca 1824 r. w Saracei na Podolu, z ojca Józefa, b. oficera wojsk polskich, i matki Balbiny z Brudzewskich.

Wychowany w domu w atmosferze żołnierskiej, wstąpił młody Zygmunt do gimnazyum w Niemirowie, gdzie zapoznał się

z utworami wieszczów naszych. Z gimnazjum przeszedł do Liceum w Odesie, które ukończył z medalem złotym.

Nauka pociągała go ku sobie, to też w r. 1847 udał się do Kijowa, do miejscowego uniwersytetu, ażeby tam kształcić się wyżej.

Lecz wybuchłe w r. 1848 w całej Europie rewolucje, głoszące szczytne hasła, drogie sercu Jeża, przerwały studja.

Porzucił Kijów, przekradł się na Węgry, które właśnie powstały przeciwko Austrji, i zaciągnął się do oddziału polskiego, który wnet potem ruszył do boju.

Po pierwszej bitwie mianowany został podoficerem, a potem długim szeregiem, szły bitwy i potyczki, w których walczył z nieustannem męztwem, z wiarą w powodzenie dobrej sprawy, z zaparciem się siebie, nie zważając na straszną nędzę, jaką cierpiał.

W maju 1849 r. mianowany został porucznikiem, lecz już sprawa węgierska chyliła się do upadku. Rozbite korpusy wojsk szukały schronienia po za granicami Węgier, i z jednym z nich właśnie, legion polski, a wraz nim i Miłkowski, przeprawił się za Dunaj, do Serbji.

Tam spędził rok prawie cały, aż wreszcie w r. 1850 uzyskał wraz z garścią rodaków pozwolenie na wyjazd do Londynu.

Bez środków do życia, bez najmniejszej nadzieji jakiejkolwiek pomocy, ciężkie przechodził chwile

Nie ugiął się jednak i nie uląkł. Śmiało stanął do walki z losem i jął się ciężkiej pracy, która mu kęs chleba dać miała.

Dostał pracę jako wyrobnik w fabryce klisz do obić papierowych. Spełniał najniższe posługi, zamiatał izby, palił w piecach, nosił wodę, roznosił i rozwoził towary.

Po jakimś czasie, zdolności jego zwróciły uwagę zarządu fabryki i awansował na artystę, t. j. tworzył i wycinał wzory obić, za co pobierał już wyższe wynagrodzenie.

Pomimo tak ciężkich warunków pracy, ani na chwilę nie zapomniał o sprawach narodowych i o własnem wykształceniu.

Związał się z Towarzystwem Demokratycznem Europejskiem, zapoznał się z najwybitniejszymi jego członkami, i z polecenia Komitetu udał się do Mołdawii.

Nie długo jednak pozostawał w tych stosunkach. W r. 1853 zerwał z nimi, i w przebraniu chłopa udał się na Podole, by odwiedzić rodzinę.

Nacieszywszy się swoimi, powrócił do Mołdawii, gdzie przemieszkał przez rok.

W czasie tym zdarzył się najtragiczniejszy w życiu jego wypadek. Dwaj bracia Zygmunta zmuszeni zostali do szukania schronienia w Mołdawii. Zanim jednak zdołał obmyślić dla nich bezpieczne schronienie, wszystkich trzech uwięziono.

Z nich Zygmunta, posiadającego paszport angielski, uwolniono, Józefa rozstrzelano, a Sczęsnego wyprawiono na Sybir.

Ciężką chorobą przypłacił Jeż tę straszną przygodę. Gdy wyzdrowiał, wybuchła wojna wschodnia 1855 r., między Rossją, a zjednoczonemi mocarstwami, z Turcją i Anglją na czele.

Zaciągnął się Miłkowski do wojska tureckiego, lecz gdy tam wkroczyły wojska austryackie, przebrany za żebraka, piechotą, powędrował do Konstantynopola, gdzie z zapoczątkowania znakomitego wieszcza naszego, Adama Mickiewicza, tworzyły się legjony polskie.

Przybył jednak zapóźno, gdyż wojna skończyła się.

W Konstantynopolu zetknął się z wybitnymi działaczami i literatami polskimi owej epoki. Za ich namową i radą jął się pióra i napisał pracę p, t. „Udział Polaków na wojnie wschodniej”, oraz „Wyjątki z pamiętników włóczęgi”.

Niezależnie od tego pisywał do „Gazety Warszawskiej” liczne korespondencje z Konstantynopola.

Zachęcony tem powodzeniem, zabrał się do pisania powieści, i w r. 1858 ogłosił p. t. „Wasyl Hołub”.

Za tą poszły szeregiem inne, czytane z zaciekawieniem przez wszystkich.

W krótkim czasie T. T. Jeż zdobył sobie sławę i powodzenie.

Pracując piórem, w ciągłych pozostawał podróżach, przejeżdżając z jednej stolicy Europy do drugiej, aż wreszcie wypadki z przed lat pięćdziesięciu powołały go do czynu.

Z polecenia rządu narodowego miał utworzyć oddział polski w Turcji. Uformował go z 250 ludzi, lecz po przejściu Dunaju, musiał stoczyć potyczkę z wojskiem rumuńskiem w Ryzensztach. Wobec przeważających sił, złożył broń, i udał się do Bukaresztu, Konstantynopola i Paryża, skąd wrócił do Galicji.

Uwięziony we Lwowie, wywieziony został do Bawarji, skąd znów puścił się na wędrówkę po Europie, aż wreszcie w r. 1864 osiadł z rodziną w Belgradzie, oddając się studjom nad słowiańszczyzną południową.

Po strasznych dniach nędzy, którą przeżył w Belgradzie, udał się w 1866 roku do Brukselli, skąd następnie przeniósł się do Lozanny, i wreszcie do Genewy, gdzie zamieszkał na stałe, od czasu tylko udając się na wycieczki dla krzewienia umiłowanych idei. Tak naprz. przed trzema laty odbył podróż po kolonjach polskich w Ameryce północnej.

Wyliczyć wszystkie tytuły prac literackich T. T. Jeża byłoby zbyt trudno. Jest ich szereg bardzo liczny, i podzielić je można na powieści historyczne polskie, słowiańskie, społeczno-obyczajowe, artykuły społeczne, etnograficzne i polityczne.

We wszystkich tych pracach jego przebija jedna potężna, umiłowana idea: sprawiedliwość dla wszystkich, równość pod każdym względem, umiłowanie ojczyzny i wszystkich spraw z nią związanych.

Pisane barwnie, zajmująco jeszcze i teraz, pomimo zmiennych prądów w literaturze, czytane są przez wszystkich z zajęciem.

I o młodzieży nie zapomniał T. T. Jeż. I dla niej tworzył niektóre z prac swoich, zwracając się do niej z gorącemi odezwami w różnych sprawach.

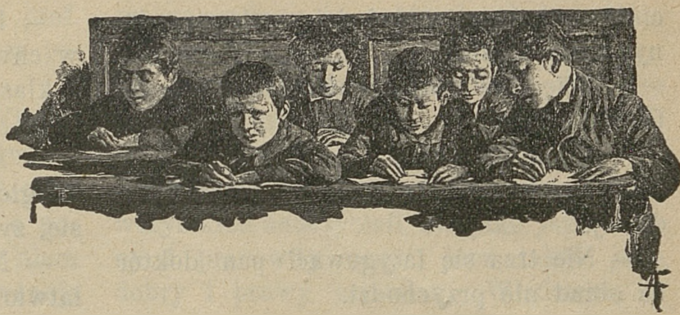
Młodzież więc polska, w dniu 90 urodzin tego, co świadkiem był wielkich dni, tego, który pomimo wszelkich burz i przejść życiowych, wytrwał wiernie przy umiłowanym sztandarze, łaczy się za starszymi w oddaniu mu czci i hołdu.

Edm. Jezierski.

Najsłynniejsze oblężenia.

Z powodu zdobycia Adrjanopola przez Bułgarów, pisma angielskie przypominają najsłynniejsze oblężenia od czasu wojny krymskiej. I tak: Sewastopol oblegany był w r. 1854/5 przez dni 354. Strasburg w 1870 – przez 41. Metz w r. 1870—przez 63. Paryż w r. 1870 – przez 144. Belfort w r, 1870/71 — przez 95. Plewna w r. 1877 — przez 105. Mefeking w r. 1899/900—przez 218. Ladysmith w r. 1899/900—przez 105. Port Artur w r. 1904/5 – przez 248. Adrjanopol w r. 1912/13—przez 153. Ze wszystkich tych oblężeń tylko dwa, mianowicie Mafekingu i Ladysmithu, zakończyły się przybyciem na czas odsieczy, która uwolniła oblężonych anglików z opresji burów.

Najłużej trwało oblężenie Sewastopola, a najkrócej — Strasburga.



Marja Buyno.

KOLEDZY.

Ciąg dalszy.

Rozmowa z profesorem Molskim nie uspokoiła Zygmunta, przeciwnie, zaniepokoiła go jeszcze bardziej.

Jeżeli taki człowiek, jak profesor Molski: taki inteligentny, taki prawy i taki znawca ludzi zajmował się Strzemboszem, to snać dostrzegł w nim coś, co mimo wszelkie pozory, stawiało go ponad innych...

Te oczy, takie jasne, takie czyste, takie szlachetne—kłamać nie mogły... a jednak fakty, przykre, nieubłagane fakty!

Coś należało postanowić, coś robić, — przekonać się o prawdzie zarzutów, jakie robiono Strzemboszowi na mocy pozorów, lub przyczynić się do oczyszczenia go...

Ale jak?

Trafić do kolegów było teraz trudno. Zygmunt czuł, że są oni chwilowo pod wpływem, który nie dopuści jakichkolwiek wyjaśnień w sprawie Michasia; profesorów mieszać w to nie można było pod żadnym pozorem...

Na domiar nieszczęścia ojciec Zygmunta, ten jego pierwszy i najlepszy przyjaciel, był na rozjazdach, które przeciągały się zwykle kilka tygodni; powrotu jego spodziewać się można było najwcześniej za 10 dni!

Ah, prawda! Zapomniał Zygmunt o jeszcze jednym swoim przyjacielu. A przecież on zawsze takie dobre, takie trzeźwe, rozumne rady dawał swemu pupilkowi!

Doktór Ksawery Borecki, od czasu, gdy wyleczył 8-mio letniego wówczas Zygmunta z ciężkiej bardzo choroby, upodobał sobie chłopca i stał się przyjacielem domu. Bywał często, zawsze bardzo pożądany, a Zygmunt również często odwiedzał staruszka, który mimo bielusieńkich włosów, zachował nietylko młodzieńczą niemal werwę i żywość ruchów, lecz także gorące serce, umiejące odczuć i zrozumieć to, co się w młodziutkich duszyczkach i główkach dzieje.

Zygmunt oprócz ocalenia życia, tak wiele zawdzięczał dr. Ksaweremu, iż kochał go i szanował, jakby kogoś z najbliższej rodziny, a w wypadkach, gdy nie mógł szukać rad i wskazówek u ojca, udawał się po nie z całem zaufaniem do swego starego przyjaciela.

Zjadłszy pospiesznie obiad, biegł na ulicę Hożą, gdzie mieszkał doktor, dziwiąc się sam sobie, że teraz dopiero pomyślał o zasięgnięciu rady pana Ksawerego.

Spotkał go jednak zawód: doktora w domu nie było.

— Przyjdzie pewnie niedługo? — pytał starego lokaja, zdecydowany poczekać.

Lecz Ambroży potrząsnął głową.

— Nie przyjdzie! — rzekł krótko.

— Jakto nie przyjdzie? Przecież to godziny przyjęć?

— Pan nie ma godzin przyjęć; tacy chorzy, powiada, co mogą przychodzić do doktora, mogą i poczekać! Więc jak ma

ciężko chorego, to siedzi u niego, o innych nie myśląc.

— Więc ma teraz kogoś ciężko chorego? Oddawna?

— Od kilku dni.

— Ha, to przyjdę jutro w porze obiadowej.

— Nie trza się fatygować! pan doktór na obiad nie przychodzi.

— Doprawdy? W takim razie przyjdę wieczorem.

Ambroży machnął ręką.

— I to nadarmo: pan doktór już dwie noce nie śpi w domu!

— Kto to chory?

— Jakiś chłopiec... Doktór go pierwszy raz widział. Chłopiec bardzo, bardzo chory, ale nasz pan zaciął się i chce go uratować!

— Kochany, dobry doktór Ksawery! — szepnął Zygmunt, przypominając sobie chwile, gdy doktór, nie odchodząc od jego dziecinnego łóżeczka, używał całej swej wiedzy, wszelkich wysiłków, by go wydrzeć śmierci.

— A co panicz ma takiego pilnego do mojego pana? Chyba nie o chorobę chodzi?

— Nie, na szczęście. Chciałem zobaczyć pana doktora i porozmawiać z nim... Nic pilnego zresztą. W porównaniu z tem, co robi dzielny pan Ksawery tam, u tego chorego, to wszystko drobnostki. Do widzenia, Ambroży, przyjdę tu niedługo dowiedzieć się, co słychać.

— Dowidzenia paniczowi! Mój pan zawsze rad, jak panicz przychodzi!

Zygmunt wracał bezradny. Widocznie los chce, by sam decydował w tej sprawie, a on, jak na złość, nie wie, co robić, chociaż czuje, tak wyraźnie czuje, jakby mu ktoś do ucha szeptał, że coś robić trzeba!

* *

*

— Koledzy!—zawołał po lekcji Zygmunt w chwili, gdy chłopcy zaczęli wychodzić z klasy, — darujcie, że was chwilę zatrzymam... Chciałbym z wami pomówić!

— A co tam nowego?— roległo się kilka głosów, gdy ogół chłopców zatrzymał się, zwracając w stronę Zygmunta.

— Nic nowego, stara sprawa, niby załatwiona, a mnie nie dająca spokoju. Koledzy, trzeba się zastanowić raz jeszcze nad sprawą Strzembosza!

Pomruk niechętny rozległ się ze wszystkich stron.

— Et, daj nam pokój. Skończyło się już, a ty nam nanowo głowę zawracasz!

— Co o nim radzić, kiedy go już niema? Mamusia zabrała swojego pieszczoszka, bo mu zanadto dokuczały te łobuzy, i kwita!

— Pewnie sobie siedzi teraz z oddzielnym dla siebie profesorem, który go chwali bez miary, a o tej bandzie ze szkoły, co się na takim ananasie poznać nie umiała, ani myśli więcej!

— Jeżeli tylko tyle masz nam do powiedzenia, to dowidzenia! Szkoda czasu i atłasu!

— Koledzy! Zatrzymajcie się! Choć niby dziećmi jeszcze jesteśmy, nie wolno nam postępować lekkomyślnie. Niesłuszny sąd wydać, niesprawiedliwie kogoś od czci odsądzić, potępić go, nie wysłuchawszy, — to niebezpieczna rzecz! Więc wzywam was, byśmy raz jeszcze tę sprawę rozważyli.

Spokojny, lecz stanowczy głos Zygmunta, jego rozumne a przejmujące spojrzenie, ślizgające się po wszystkich, wreszcie wpływ jakiś tajemniczy, który roztaczał mimowoli czasami, na otoczenie, podziałały i tym razem. Chłopcy postanowili słuchać.

— Więc o co chodzi?

— Chodzi o to, że zrobiliśmy krzywdę Strzemboszowi... i za tę krzywdę jego pociągnęliśmy do odpowiedzialności... Na-

raziliśmy go na straszne upokorzenie wówczas na lekcji polskiego... dobrze, że prof. Molski zrozumiał sytuację, wszedł w położenie Strzembosza...

— Za pozwoleniem!— krzyknął Witold, wysuwając się z gromadki uczniów, — wszystko to miałoby pewną słuszność, gdyby kolega Strzembosz nie wiedział o postanowieniu klasy. Skoro jednak o niem wiedział, ponosi wszystkie konsekwencje swego kroku!

— Naturalnie! Naturalnie!—potwierdzili chłopcy. Przesadzony głos Witolda, jego pewność siebie, wyrażenia, zaczerpnięte ze słownika ludzi dorosłych, działały przekonywująco.

— O tem wiemy tylko z ust kolegi Witolda! – rzekł Zygmunt zwolna, wpatrując się badawczo w chłopca, który zmieszał się na chwilę i spuścił oczy, lecz zaraz z dawną butą odparł:

— Nic dziwnego, gdyż nikt oprócz mnie z kolegą Strzemboszem nie rozmawiał.

— To jest tak poważna sprawa, że należało by ją sprawdzić! — rzekł spokojnie Zygmunt.

Witold rzucił się z oburzeniem:

— Jakto? — wykrzyknął,—kolega zarzuca mi fałsz? Kłamstwo? Na jakiej zasadzie? Ja tego znieść nie mogę! To jest obelga! Żądam natychmiast dowodów, że skłamałem.

— Powoli, powoli! — uspakajano Witolda, ogromnie wzburzonego – Zygmunt nie powiedział, że kłamiesz...

Ale Witold uspokoić się nie dał, krzyczał coraz głośniej, a za nim krzyczała reszta; jedni, chcąc go uspokoić, inni ujmując się za nim, inni wreszcie wykazując głośno wątpliwość co do jego prawdomówności.

Krzyk ten sprowadził jednego z gospodarzy klasy.

— Co to, chłopcy? Jeszcze się nie rozeszliście? I co to za krzyki? No, prędzej, czapki na głowy i marsz do domów!

Gromadka zadowolona z takiego obrotu rzeczy, raźno się zabierała do odwrotu, gdy znów wystąpił Zygmunt.

— Pan pozwoli jeszcze chwileczkę. Nie będziemy już krzyczeć. To rzecz bardzo ważna!

Zygmunt był ceniony i szanowany przez wszystkich nauczycieli, nietylko jako zdolny i pracowity uczeń, lecz także jako dobry i prawy człowiek. Wiedziano, że był zawsze tam, gdzie działo się co dobrego, a brakło go, gdy poczynano co złego.

— No, dobrze, tylko kończcie prędzej! — rzekł więc gospodarz klasy, spojrzawszy życzliwie na Zygmunta.

Chłopcy nie bardzo byli radzi tej decyzji.

Ględzi Zygmunt najniepotrzebniej z tym Strzemboszem! Może już nie wróci do szkoły, a zresztą co im do niego!

Witold głośno namawiał do rozejścia się.

(D. c. n.).

Zabawa wielkanocna amerykańska.

W drugim dniu Świąt, służba „Białego Domu", który jest siedzibą prezydenta, otwiera szeroko wielkie bramy, aby wpuścić na olbrzymi dziedziniec pałacowy, połączony z ogrodem, młodzieńczą i dziecięcą ludność miasta Waszyngtonu.

Od samego ranka liczne gromadki ciągną z całego miasta, ze śpiewem i wesołością, a panuje w nich największa rozmaitość. Są tu twarzyczki białe, czarne, ubranka nędzne, skromne, bogate.

Przybywają na rowerach, wrotkach, motocyklach: są i tacy, których wózeczki popychają niańki, lecz wszystkie twarze są rozpromienione, w rękach każdego znaj-

duje się koszyczek z jajkami, ufarbowanemi na czerwono, które służą do gry, specjalnie świątecznej, na trawnikach ogrodu. Ugotowane na twardo, będą toczone po ziemi.

Oto dwoje dzieci, zaledwie wszedłszy do ogrodu, zasiada na ścieżce i rzuca po ziemi dwa czerwone jajka: właściciel mocniejszego, zabiera pęknięte i najczęściej zjada je natychmiast.

Oprócz tego, starsi mają do swego rozporządzenia krokiet, piłkę nożną, tennisa, strzelnicę, łódki na stawie. Na ożywionej zabawie upływa kilka godzin, naraz ze szczytu „Białego Domu" opuszcza się kolorowy balon. Oznacza to godzinę dwunastą, czas posiłku.

Zabawy się przerywają natychmiast i każdy zasiada do odpoczynku pod wielkiemi drzewami, lub przy wodotrysku. Wydobyte z koszyków zapasy nikną w jednej chwili a wesoły gwar nie ustaje, lecz się jeszcze wzmaga.

Jest to pierwsza uczta wiosenna na świeżem powietrzu! Po chwilowej przerwie, zabawy prowadzą się dalej, aż do godziny trzeciej. Wtedy przybywa orkiestra wojskowa, grając hymn narodowy, a na balkonie „Białego Domu", ukazuje się prezydent w otoczeniu rodziny i gości. Wtedy zapał zebranych tłumów dochodzi do szczytu, rozlegają się gromkie okrzyki na cześć prezydenta, tysiące chustek i kapeluszy powiewają w powietrzu.

Zapewne i w tym roku młodzież Waszyngtonu nie była pozbawioną swej ulubionej zabawy, chyba, że przeszkodziły temu zbyt wczesne Święta Wielkanocne, kiedy jeszcze trudno o ciepło i zieloność.

SZAKALE I HIJENY.

DOKOŃCZENIE.

Spałem już chyba ze dwie godziny, gdy wtem obudziło mnie jakieś skrobanie; dochodziło mnie ono od strony dwóch skórzanych pak, na których stały resztki z mej kolacji: chleb, miód i jabłka. Zerwałem się, zacząłem nadsłuchiwać, lecz nie słyszałem nic, prócz szmeru płynącego w pobliżu strumyka. Ciemności nie pozwalały mi na rozglądanie się, tylko gwiazdy świeciły, przymglone przez festony drzew; zasnąłem więc na nowo.

Po chwili jednak obudziło mnie to samo skrobanie przy pakach i usłyszałem wyraźnie, jakby ktoś szamotał się z ich rzemieniami. Skoczyłem więc na równe nogi i zobaczyłem z jakie pół tuzina szakali, które, jak cienie, niknęły między topolami. Zrezygnowałem więc już zupełnie ze snu tej nocy, musiałem bowiem starać się, by utrzymać te śmiałe zwierzęta w przyzwoitej odległości. Gdym tylko chwilę leżał cicho, pojawiały się znowu i szarpały za rzemienie, a skoro zamierzałem się szpicrutą na jedną z waliz, umy-

kały szybko. Prędko jednak przyzwyczaiły się do tego i odbiegały za każdym razem zaledwie na kilka kroków. Wtedy wpadły mi w oczy moje jabłka, i gdy szakale znów zaczęły się skradać, rzuciłem jedno jabłko w gromadę i tą nową bronią walczyłem, dopóki ostatnie jabłko nie potoczyło się w ciemnościach.

Jeżeli już mówimy o tych nieproszonych gościach, jak z pod ziemi wyrastających, trudno nie wspomnieć o hijenie, gdyż należy ona również do mieszkańców pustyni. Dziwne to zwierzę, ni pies, ni kot, coś w każdym razie pośredniego między niemi, tylko większe od nich obojga. Jest ona brudno-szara, brunatna



Hijena.

z czarnemi pręgami i plamami, głowę ma zaokrągloną, pysk czarny i czarne oczy, a tylne nogi tak krótkie, ze szczecinowaty jej grzbiet opada w tył. Wychodzi również nocą po zdobycz, a w zachodniej Persji wymyka się ze swych kryjówek w górach na drogi karawan, szukając zdechłych osłów, koni lub wielbłądów. Jeżeli nie zakopią dostatecznie głęboko zmarłego, wtedy wygrzebuje ona z pod kamieni zwłoki, gdyż żywi się prawie wyłącznie zepsutem mięsem.

Większa część pocisków nie trafiała celu; raz tylko wydobyłem z gardła jednego z bezczelnych złodziei skowyt bólu.

Jakże mi się dłużyła ta noc!

Wreszcie zaczął się między topolami ukazywać brzask dnia, i szakale bez szmeru przeskoczyły mur. A więc nareszcie mogłem zasiąść bez przeszkody do śniadania, lecz z pozostałego po wczorajszej kolacji chleba nie znalazłem ani kąska.

Później dowiedziałem się, że szakale w tych okolicach bywają niebezpieczne i dwóch lub trzech zupełnie wystarcza, by zmódz jednego człowieka. Od tego czasu kazałem zwykle sypiać w pobliżu jednemu z mych ludzi.

Wielki gościniec perski, oświetlony łagodnemi promieniami księżyca w letnią, cudną noc! Padły wielbłąd leży martwy, jak czarna masa, wyciągnąwszy nogi

i zmęczoną głowę. Padlina wydaje okropny zapach, lecz to właśnie przywabia hijeny. Śpieszą więc ze swych pieczar, zbliża się ich chrapliwe szczekanie, potem stoją chwilę z podniesionemi uszami, wietrząc dookoła i warcząc z cicha. Z kątów ich pyska ciecze ślina, gdyż nie żarły już przez wiele dni. Teraz zwietrzywszy wielbłąda, przybiegły. Opierają się silnie o ziemię przedniemi nogami i rozrywają skórę brzucha padliny, potem pogrążają pyski w miękkie części jamy brzusznej i nażerają się do syta jelitami i mięsem. Z łapami jeszcze w brzuchu zdechłego wielbłąda podnoszą głowy i nastawiają uszy w jednym kierunku. Skoro tylko ukazujemy się w świetle księżyca, znikają, jak cienie, w mrocznej pustyni, lecz gdy oddalamy się nieco, są znowuż na dawnym miejscu i ryją dalej we wnętrznościach wielbłąda, dopóki im znów kto nie przeszkodzi. Jak tylko na wschodzie zaświta dzień, umykają z powrotem do swych pieczar.

Tak włóczą się czworonożni mieszkańcy pustyni dookoła oazy Tebbes, dzieląc się bezmiernem państwem z panterą, dzikim osłem i delikatną, zgrabną gazelą. A na olbrzymiej dalekiej płaszczyźnie leży ta oaza zapomniana i samotna, jak wyspa na oceanie.

KRONICZKA.

△ Pierwszy nieszczęśliwy wypadek aeroplanowy zaszedł w Warszawie, w ubiegłym tygodniu. Młody lotnik wojskowy, porucznik Perłowski, Polak, wzniósłszy się w przestworza na aeroplanie systemu Newporta, spadł wskutek uszkodzenia maszyny i poniósł śmierć na miejscu.

△ Nad małem Czarnogórzem gromadzą się chmury. Z rozpaczliwem bohaterstwem dobija się ono posiadania twierdzy Skutari, przeciwko czemu założyła protest Austrja, poparta przez wielkie mocarstwa. Odbyła się demonstracja flot, a obecnie krążą pogłoski o tem, że Austrja ma zamiar siłą poprzeć swe żądania.

△ Bułgarzy na linji Czataldży, posuwają się coraz bardziej naprzód. W Konstantynopolu panuje straszny popłoch w obawie, że wkrótce wkroczą do stolicy padyszachów. Ludność zamożniejsza tłumnie ucieka do Azji.

△ W sobotę dnia 5-go b. m. odbyło się w sali ratuszowej otwarcie wystawy entomologicznej, urządzonej przez Tow. Miłośników Przyrody. Wystawa przedstawia się bardzo okazale i zawiera wiele okazów godnych uwagi. Młodzież nasza winna stanowczo zwiedzić ją i zapoznać się dokładnie z wystawionemi na niej okazami, zwłaszcza wobec zbliżającego się lata i wakacji, kiedy jest możność czynienia zbiorów na własną rękę. W pierwszym dniu otwarcia Tow. Miłośników Przyrody otrzymało wspaniały dar, w postaci zbiorów p. Karpowicza. O samej wystawie pomówimy obszerniej w następnym numerze.

Administracja uwzględnia reklamacje tylko w przeciągu dwóch tygodni i tylko prenumerujących pismo **wprost** w administracji (Nowy-Świat 53 i Ordynacka 8 m. 7).

Warunki prenumeraty

	w Warszawie	z przesyłką
Rocznie	rb. 4 —	rb. 5 kop. —
Półrocznie	„ 2 —	„ 2 „ 50
Kwartalnie	„ 1 —	„ 1 „ 25

Za granicą rocznie rb. 5 kop. 50

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.

Adres Administracji — Nowy-Świat 53.

Adres Redakcji — Ordynacka 8 m. 7.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor i wydawca: **Marja Bujno-Arctowa.**

Druk M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 3